

egzemplarz bezpłatny

ISSN 1732-6494 nr 31, grudzień 2008



mixer

magazyn studentów

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego



**- Podświadomie jestem ukształtowany
podkładami muzycznymi do japońskich
gier komputerowych...
czytaj, s. 11**

miXer

magazyn studentów

Krakowski Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Nr 31, grudzień 2008

3 Apéritif

PoWaGa

Politycznie Ważne Gadanie

- 4 Kształtowanie więzi
- 5 Wyzwanie: skomentować orzeczenie sądowe...
- 6 Czy człowiek współczesny może być istotą racjonalną?

StuDnia

Studencki Drogowskaz Intelktualny

- 9 Bębnić każdy może

Temat z okładki

- 11 *Podświadomie jestem ukształtowany podkładami muzycznymi do japońskich gier komputerowych...*

Kraków od spodu

- 16 To już 30. numer...

KUMulus

Kulturalny Uzupełniacz Młodzieży

- 17 To, co bezpowrotnie uleciało...
- 18 Pomóc młodym twórcom niezależnym
- 19 Barack Obama: iluzjonista godny swoich czasów?
- 21 IKEA i homoseksualizm

KSW w obrazie

- 22 - Szkoda czasu na granie coverów...

redaktor naczelny
redakcja

Bartosz Walat
Iga Balos
Iwona Faron
Grzegorz Makuch
Joanna Oparcik
Agnieszka Prosta
Magdalena Zakrzewska
Anna Zielińska
Mateusz Plocica
Maciej Pietrzyk
Daniel Wilk
Mirka Kędzierska
Dorota Zdechlikiewicz

zdjęcia

Mirosław Żak
Grzegorz Ladra
Łukasz Żołądź

dtp i layout
okładka

Mateusz Janusz (*hussars.pl*)
Monika Szewczyk

adres do korespondencji

mixer_ksw@interia.eu

druk

Drukarnia Leyko
tel. 012 656 44 87

nakład

2000 egzemplarzy

opieka redaktorska

Maciej Malinowski
(Wydział Politologii
i Komunikacji Społecznej)

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.



Bartosz Walat redaktor naczelny

Apéritif

Na Rynku Głównym piją grzańca, manekiny z wystaw sklepowych przystrojone są w mikołajkowe czapeczki, a wykładowcy ustalają sesyjne terminy. Wszystko wskazuje na to, że jest grudzień. Można by oczywiście debatować o znaczeniu tego faktu, ale w tym wypadku wystarczy to chyba potraktować jako jednoznaczny wyznacznik aktualnej czasoprzestrzeni.

Trzymacie w rękach 31. numer magazynu „Mixer”, który od tego wydania kieruje się ku nowemu etapowi podyktowanemu moją obecnością. Wydaje mi się, że perspektywa kolejnych 30 numerów zapowiada się efektywnie – pozostaje tylko działać!

W tym numerze prezentujemy Wam obszerną rozmowę z Czesławem Mozilem, który stał się ostatnio podmiotem sporów o niezależności i komercji w polskiej sztuce. Polecam także reportaż Anny Zielińskiej, przedstawiający, jak silna jest pasja wśród muzyków amatorów. Godne uwagi są także rozważania o Baracku Obamie. Nasza dziennikarka Joanna Oparcik przeanalizowała sytuacje pośrednio i bezpośrednio z nim związane.

W ostatnich zdaniach chciałbym życzyć wszystkim rozleniwionym Świąt Bożonarodzeniowych i serii sukcesów w nadchodzącym Nowym Roku. Mam nadzieję, że już za miesiąc spotkamy się na łamach naszego pisma, by kontynuować walkę o niezależność studenckiego punktu widzenia.

Konferencja naukowa: „*Stańczycy i organicznicy: Poznań – Kraków*”

Kształtowanie więzi

Dariusz „nestor”

26 listopada br. w Krakowskiej Szkole Wyższej zorganizowana została konferencja naukowa, której temat przewodni stanowiły drogi rozwoju Małopolski i Wielkopolski. Spotkanie było odpowiedzią na debatę, jaka odbyła się wcześniej w Poznaniu. Kontynuowanie tematu miało na celu jeszcze większe zacieśnienie współpracy między obydwoma regionami kraju.



Dyskutowano o różnicach i analogiach między Poznaniem i Krakowem, a także uwarunkowaniach kulturalnych, politycznych i historycznych, które w znacznym stopniu oddziałują na podejmowaną współpracę międzyuczelnianą. Konferencję rozpoczęło wystąpienie rektora KSW **prof. dr hab. Jerzego Malca** oraz założyciela Wyższej Szkoły Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa w Poznaniu **Marka Przybylskiego**.

Gość podkreślił, że wraz z delegacją jechał do Krakowa... osiem godzin, co stwarza poważny problem w kształ-

towaniu więzi między obu uczelnianymi środowiskami. Zaznaczył, że infrastruktura komunikacyjna w Polsce jest tak słaba, iż czasami współpraca z regionami wydaje się w ogóle niemożliwa. Wypowiedział się także na temat podobieństw i różnic obydwu uczelni.

Merytoryczna część spotkania podzielona została na dwie części. W pierwszej **prof. dr hab. Marek Ziółkowski** omówił kwestię herbów, rysu historycznego, a przede wszystkim mentalności regionalnej. Mówca powołał się na dane statystyczne, co szczegółowo ukazało charakter społeczności wielkopolskiej.

Głos w dyskusji zabrała także **prof. dr hab. Renata Suchocka**, która kontynuowała temat wizerunku mieszkańców poznańskich regionów. Tym razem również odwołano się do statystyk. Profesorka przedstawiła nastroje mieszkańców, ich poszanowanie tradycji, a także opinie społeczne, jakie wyrażają. W tej części zaprezentowali się jeszcze **prof. dr hab. Robert Kmiecik** i **prof. dr hab. Waldemar Łazuga**.

Drugą partię spotkania poświęcono tematowi „*Współczesna Małopolska*”. Studenci zgromadzeni na sali mogli wysłuchać wykładu **prof. Stanisława Tabisza**, który opisał obecny charakter plastycznych środowisk artystycznych Krakowa. Poruszone zostały aspekty promocji sztuki, a także zaprezentowano instytucje, które zajmują się jej promowaniem.

O historycznym i geograficznym uwarunkowaniu Krakowa mówił **prof. dr hab. Rajmund Mydel**, który w oparciu o mapki struktury miasta zarysował przełom dziejowy na przestrzeni XIX

i XX wieku. Z kolei **prof. dr hab. Elżbieta Kaczmarska** skupiła się na planach i skutkach założeń rewitalizacyjnych, jakie w Krakowie dotyczą głównie Zabłocia, gdzie do „odświeżenia infrastruktury” przyczyniło się wybudowanie budynków kampusu Krakowskiej Szkoły Wyższej. Ostatnim punktem wystąpień było przedstawienie zagadnień związanych z mediami lokalnymi. W tej kwe-



stii głos zabrali **prof. dr hab. Ryszard Kowalczyk** z Poznania i **prof. dr hab. Andrzej Jaeschke** z KSW.

Konferencja naukowa „*Stańczycy i organicznicy: Poznań – Kraków*” pozwoliła studentom poszerzyć wiedzę o Małopolsce i Wielkopolsce w obszarach, które na co dzień pomija się w społecznej dyskusji. Tak rozbudowana formuła edukacyjna z pewnością przynosi wiele korzyści. Cykliczne spotkania studentów różnych uczelni będą kontynuowane. ■

Wyzwanie: skomentować orzeczenie sądowe...

Jeżeli student wydziałów prawa i administracji chciał się poczuć jak prawdziwy prawnik jeszcze przed otrzymaniem dyplomu, to miał taką okazję. Mógł wziąć udział w XII Ogólnopolskim Konkursie na Głos do orzeczenia Sądu Najwyższego, Trybunału Konstytucyjnego oraz Naczelnego Sądu Administracyjnego

Mirka Kędzierska

WKrakowie odbył się finał XII Ogólnopolskiego Konkursu na Głos do orzeczenia Sądu Najwyższego, Trybunału Konstytucyjnego oraz Naczelnego Sądu Administracyjnego organizowany przez Europejskie Stowarzyszenie Studentów Prawa ELSA Poland ('The European Law Students' Association') i jej sekcję lokalną ELSA Kraków.

Można powiedzieć, że Uniwersytet Jagielloński wraz ze swoim Wydziałem Prawa i Administracji nadal temu wydarzeniu splendoru, a współpraca z Krakowską Szkołą Wyższą, drugim krakowskim ośrodkiem kształcącym młodych prawników, pozwoliła połączyć tradycję z nowoczesnością.

Zostać laureatem tak prestiżowego konkursu nie było łatwo. Prace należało nadesłać w terminie od 14 września do 15 listopada. Dla niektórych był to tylko miesiąc, dla znakomitej większości osób biorących udział w konkursie były to aż dwa miesiące wyężonej pracy.

Uczestnicy konkursu ELSA mieli za zadanie opracowanie jednego spośród przedstawionych przez organizatora orzeczeń i napisanie do niego glosy*. Zmierzenie się z takim zadaniem to

nie lada wezwanie. Udział w konkursie mogli wziąć nawet studenci II roku, ale żeby sprostać temu zadaniu, trzeba się było wykazać ogromną wiedzą z różnych dziedzin prawa: administracyjnego, karnego, cywilnego, finansowego czy konstytucyjnego. Liczyła się argumentacja sądów, sposób formułowania myśli, a także poprawność językowa. Praca musiała być poprawna formalnie oraz mieć charakter naukowy.

Było to pięć kategorii, Sąd Konkursowy wybierał najlepszą pracę w każdej z niej. W skład Sądu Konkursowego weszli tak znani naukowcy katedry prawniczej jak: prof. dr hab. Krystyna Chojnicka, dziekan Wydziału Prawa i Administracji UJ; prof. dr hab. Andrzej Zoll, kierownik Katedry Prawa Karnego UJ, oraz prof. dr hab. Fryderyk Zoll z Katedry Prawa Cywilnego UJ. Wśród wybitnych składu nie zabrakło profesorów Krakowskiej Szkoły Wyższej: prof. dr hab. Zbigniewa Maciąga, profesora KSW, kierownika Katedry Prawa Konstytucyjnego, oraz prof. dr hab. Apoloniusza Józefa Kosteckiego, kierownika Katedry Prawa Finansowego...

W tym roku nadesłano aż 53 prace konkursowe. Finał konkursu odbył się 10 grudnia br. w auli reprezentacyjnej Collegium Novum UJ. Oto laureaci:

- Prawo cywilne: Marcin Brewicz (Uniwersytet Łódzki);
- Prawo administracyjne: Adam Jaworski (Uniwersytet Warszawski)
- prawo finansowe: Michał Chylat (Uniwersytet Warszawski);
- prawo konstytucyjne: Jan Podkowik (Katolicki Uniwersytet Lubelski)
- prawo karne: Marcin Robenek (Uniwersytet Jagielloński).

Były pochwały, gratulacje i słowa uznania dla młodych, utalentowanych studentów. Oczywiście, nie zabrakło nagród pieniężnych i wyróżnień. Najlepsze prace zostaną opublikowane w czasopiśmie prawniczych. ■

* *Glosa* (z łac. glossa 'język') to 'naukowy komentarz do orzeczenia sądowego zawierający jego krytyczną analizę. Jedną z prawniczych form dialogu między sądami a doktryną prawa. Zawiera zazwyczaj streszczenie przebiegu sprawy sądowej i pogłębiony komentarz autora. Glosa może być aprobująca lub krytyczna (w pełni lub częściowo) w stosunku do komentowanego orzeczenia'.

Konferencja naukowa w KSW

Czy człowiek współczesny może być istotą racjonalną?

W grudniu br. Krakowska Szkoła Wyższa gościła wiele wybitnych osób, które wzięły udział w konferencji naukowej pt. „Racjonalne i pozaracjonalne podstawy współczesnej cywilizacji w refleksji naukowej”, zorganizowanej przez Wydział Nauk Humanistycznych KSW oraz Polskie Stowarzyszenie Racjonalistów.

Obrady zainaugurowała prorektor KSW prof. dr hab. Maria Kapiszewska wspólnie z dziekanem Wydziału Nauk Humanistycznych prof. nadzw. dr hab. Zbigniewem Puckiem oraz prezesem Polskiego Stowarzyszenia Racjonalistów Mariuszem Agnoslewiczem.

W trakcie debat nad pytaniem zebrani wysłuchali interesującego wykładu prof. dr hab. Jana Szmyda. W tej części prezentacji ukazane zostały także francuskie uwarunkowania wolnej myśli – zebrani wysłuchali wykładu Jeana Marca Schiappy.

Sesję pierwszą zakończył redaktor tygodnika „Polityka” Edwin Bendyk, który zdefiniował sytuację posthumanizmu i zobrazował tendencję do podświadomego dążenia do racjonalnego działania.

Drugą część spotkania poświęcono uwarunkowaniom duchowym i ukazaniu problemu z perspektywy ludzkiego indywidualizmu. Prof. dr hab. Halina Grzymała-Moszczyńska przedstawiła duchowość jako naturalny fenomen bycia człowiekiem, a dr hab. Bernard Korzeniowski podważał istnienie duszy i rozważał charakter umysłu i wolnej woli. Ostatnim elementem tej części konferencji było intertekstualne odniesienie tematu do historii literatury z wątkami ezoterycznymi.

Racjonalne i pozaracjonalne podstawy współczesnej cywilizacji w refleksji naukowej omówione zostały w aspekcie naleciałości etnicznych, kulturowych i religijnych. Referat o zachodnim rozumieniu myśli Wschodu wygłosiła prof. dr hab. Beata Szymańska-Aleksandrowicz, która zobrazowała stereotypowe przekonanie, że inna kultura oznacza kulturę irracjonalną.

W sprawie religijności Polaków głos zabrała prof. dr hab. Irena Borowik, a prof. dr hab. Zbigniew Pucek zbadał strukturę społeczną z uwzględnieniem zarówno przemyślanych przesłanek racjonalnych, jak i przypadkowych oraz podświadomych czynników pozaracjonalnych.

Wystąpieniom towarzyszyła żywa dyskusja, również z udziałem studentów. Wszystko sprowadziło się do wyodrębnienia dwóch sprzecznych biegunów, które nie tyle powodują naukowy ferment, co z pełną stanowczością ukazują brak rozwiązań w prezentowanych kwestiach. Okazuje się, że wygrywa idea indywidualizmu – po prostu róbta, co chceta.

Biedronka



Zdjęcia: Mirosław Żak





Środa rano. – Czy ktoś już kiedyś grał na bębnach – zapytał profesor. Okazało się, że zdecydowana większość nie. W piątek wieczorem byliśmy już zespołem i wspólnie zagraliśmy koncert.

Bębnić każdy może



– *Mówcie na mnie Smok* – rzucił muzyk Marek Rajss i rozpoczął warsztaty bębniarskie wraz z prof. sztuk muzycznych Janem Pilchem, twórcą Międzynarodowego Festiwalu Perkusyjnego „Źródła i Inspiracje”. – *Zabraliśmy ze sobą trochę sprzętu* – powiedzieli z uśmiechem.

Ich kolekcja wyglądała naprawdę imponująco. Etniczne instrumenty od razu wzbudziły zainteresowanie. Pewnie wielu z nas myślało: „Ciekawe, jak się na nich gra? Jak one brzmią?”. Nasi nauczyciele chyba to wyczuli, bo nie kazali nam długo czekać. – *To są bębny bata – mama, tata i dziecko, pochodzą z Afryki oraz Kuby – opowiadał Smok. – Tabla to instrument indyjski, udu afrykański, guiro jest pochodzenia indiańskiego, a darabuca*

wywodzi się z krajów arabskich – kontynuował wraz z profesorem. A my słuchając i obserwując, z jaką precyzją potrafia zagrać na każdym z nich, nie mogliśmy mieć wątpliwości, że będą nas uczyć sami mistrzowie.

Poszukiwacze dźwięków

Perkusista to bez wątpienia bardzo ważny muzyk. Zwykle jednak, mało widoczny. Ale nie w przypadku, gdy wykonuje muzykę afrykańską czy latynoamerykańską. A Smok z profesorem właśnie do takich należą. W trakcie koncertów lubią robić zamieszanie na scenie. Tylko na nasze warsztaty przywieźli ze sobą kilkadziesiąt instrumentów: bongosy, djem-

by, timbalesy, shakery i wiele innych. Bo taka muzyka musi być show.

Podobnie było na zajęciach. Naszych nauczycieli rozpieszczała energia. W nieustannym ruchu i skupieniu wyszukiwali coraz to nowe instrumenty, by jak najbardziej urozmaicić nasze zajęcia. – *Muszę przyznać, że jest to dla mnie bardzo ciekawe doświadczenie, ponieważ na co dzień nie prowadzę ćwiczeń z początkującymi* – mówił z uśmiechem profesor. Chociaż pewnie nieraz raniliśmy mu uszy. Na nic zdały się jego prośby „*Grajcie ciszej*”. Przeważnie, jak ktoś z nas poczuł o co chodzi, to dawał czadu! I nawet kiedy profesor robił przerwę, zawsze znalazło się kilka osób, które zawzięcie waliły w bębny. Wtedy uciekał od nas jak najdalej...

- Strzelaliście kiedyś z bata?

Wbrew pozorom we właściwej grze na bębnach nie chodzi tylko o to, żeby złapać rytm. Bardzo ważne jest również to, jak uderzyć. – *Strzelaliście kiedyś z bata?* – pytał profesor. Niestety. Wśród uczestników warsztatów nie znalazła się ani jedna taka osoba. – *A szkoda* – kontynuował – *bo w taki właśnie luźny sposób powinniście uderzać w bębny, jeżeli nie chcecie odczuwać zmęczenia* – radził.

– *A teraz złożcie dłoń w taki sposób, jakbyście chcieli napić się z niej wody, i spróbujcie grać na djembach* – podpowiadał. Wskazówki profesora z całą pewnością przydadzą się tym, którzy na zajęciach złapali bakcyła i będą kontynuować naukę. Nie ma nic gorszego niż złe nawyki, które później bardzo trudno wyeliminować. Ale prawda jest taka, że początkujący i tak muszą swoje wycierpieć. Zanim ręce przyzwyczają się do gry na bębnach, musi minąć jakiś czas. Dla nas liczyła się każda godzina ćwiczeń przed występem. Ratunkiem okazały się... plastery.

Czuliśmy, że zabębnimy

Trzy dni warsztatów, 12 godzin bębnienia. Będziemy mieć koncert? Niektórzy byli zaskoczeni, że to, czego się nauczyliśmy, pokażemy na scenie. I chociaż każdy z osobna niewiele potrafił, w grupie czuliśmy, że zabębnimy. Smok z profesorem nauczyli nas prostych rytmów, ale tak sprytnie to wszystko poukładali, że sami byliśmy zdziwieni naszym brzmieniem. Bębnienie to świetna przygoda. – *W moim życiu traw już od kilkunastu lat* – mówił Smok. Nie trzeba jednak tak długiego czasu aby gra mogła zachwycać. – *Obecnie pracuję z chłopakiem, który bębni od roku i jest rewelacyjny! Trzeba jednak przyznać, że wcześniej poświęcał na naukę 3, 4 godziny dziennie* – podkreślał Smok i jednocześnie zapewniał:

– *Zobaczycie, że po pół roku treningu dźwięki wydobywane z djemby będą się same dopasowywać do słuchanej melodii. Nawet nie będziecie wiedzieć, kiedy to się stanie...*

Anna Zielińska



17 listopada w Alchemii spotkałem się z Czesławem Mozilem

**– Podświadomie jestem ukształtowany
podkładami muzycznymi
do japońskich gier komputerowych...**



Fot. Lukasz Żołędź

– Jak to jest po raz kolejny grać w Alchemii?

– To cudowne. Tutaj gramy już od 2004 roku i zawsze jest wspaniale. Tu jest świetnie, bo znam ekipę. My pasujemy do Alchemii, bo gramy kameralne koncerty. Dziś gram z Marcinem tylko - mamy fortepian i ufam, że publika dostrzeże nową aranżację tych piosenek. To jest takie dziwne, bo ja zamieszkałem w Krakowie, mam meldunek krakowski, ale od lipca byłem tu tylko przez pięć dni. Jest to dla mnie dziwne, nawet dziś nie byłem jeszcze w domu.

– Ostatnio rozmawiałem w tym miejscu z Maćkiem Małeńczukiem, który stwierdził, że w Krakowie przebywa od strony sceny, a gdy chce wyjść prywatnie, to przychodzi właśnie tu. Dla ciebie to też jest miejsce związane z prywatnością?

– Jak najbardziej. Tak naprawdę sam tworzysz własną prywatność. Myślę, że tu na Kazimierzu jest mnóstwo takich miejsc. Ja się tu czuję bardzo dobrze. Mam jednak nadzieję, że najlepsze imprezy w Alchemii są jeszcze przede mną...

– W takim razie uważasz się już za krakusa?

– Wiesz, to jest dziwne, bo ja zawsze uważałem się za krakusa. Nie jestem tu urodzony, nigdy nie mieszkałem tu przez dłuższy czas, ale i tak jak mam wybrać jakieś miejsce w Polsce, to wybiorę Kraków, bo traktuje go jak dom. Tu mam przyjaciół i czuję się dobrze, wiem, w jakich knajpach pić, i w jakich barach mlecznych jeść. Przez ostatnie sześć lat przywożę tu swoich muzyków i oni też pokochali to miasto.

Temat z okładki

– A co jest dla ciebie najważniejsze w tym mieście?

– Najważniejsze jest to, że tu panuje klimat studencki. Ja tutaj wszędzie chodzę piechotą, bo wszystko jest blisko. I ważne też jest to, że mogę tu być sobą, mogę chodzić w takich ciuchach jak lubię. Esencją jest jednak fakt, że tu młode generacje mieszają się ze starszymi. To jest bardzo cudowne. Tu nie ma tak, że ten bar przyciąga takich ludzi, a tamten innych. Tu wszędzie można spotkać zróżnicowane środowiska.

– Jesteś już członkiem elity artystycznej Krakowa? Ponoć to bardzo zamknięta grupa...

– Na pewno nie jestem. Nie zależy mi na środowisku artystycznym. Warto pić wódkę z tymi, którzy są fajni, a że wśród tych są także artyści, to bardzo pięknie. Nie będę się pchał w jakieś środowiska. Osobiście znam wiele osób w Krakowie, ale to nie jest żadne zamknięte grono.

– Jak w twoich oczach wygląda polska scena muzyczna?

– Polska scena jest jak najbardziej niesamowita i ciekawa. Jestem pozytywnie nastawiony, bo istnieje wielu wykonawców, których szanuję i jestem ich wielkim fanem. To dotyczy zarówno tych młodych, jak i starszych. To cudowne, że kluby muzyczne się rozwijają i nawet w małych miasteczkach powstają wyjątkowe miejsca. Muszę jednak wspomnieć, że w poniedziałek byłem w Sali Kongresowej na rozdaniu nagród Złote Dzioby. Konferansjerzy zaczęli spotkanie od słów: „Słuchajcie, tutaj jest śmietanka polskiego show-biznesu!”, a ja wiem, kto jest śmietanką polskiego show-biznesu i to na pewno nie ci, którzy byli w Sali Kongresowej. W sztuce nie chodzi przecież o sprzedaż płyt...

– W takim razie, co się przyczynia do tego, że ta sytuacja tak wygląda?

– Jest takie środowisko ludzi, którzy mają za dużo władzy na polskiej scenie muzycznej. Ja nawet nie mówię o wykonawcach. Po prostu jest grono, które lubi robić dla siebie imprezy i chce żebyśmy o tym pisali i mówili, traktowali je jak śmietankę show-biznesu.



Dla mnie jest dziwne, choć może to norma, że w 2008 roku, w demokratycznym kraju możesz mieć państwową telewizję, która wraz z radiem robi ogromną imprezę, by się lansować. W dodatku organizatorzy wmawiają ludziom, że w konkursie chodzi o esemesy, że wysłanie wiadomości przekłada się na sukces danego idola. Z całym szacunkiem, ale ja wiem, że taka kapela jak Feel, która sprzedaje mnóstwo płyt, nie może przegrać z Kombii! To niemożliwe. Tak samo jak Sokół feat. Pono z piosenką „W aucie”, którzy nagrali świetny teledysk i mają genialny hit! Oni mają więcej niż 6 mln wejść na *youtube.com*, także nie mogą przegrać w swojej kategorii. Gdyby naprawdę decydowały

esemesy, wygraliby. Lans jest dobry, ale niech on będzie szczery.

– Jest w takim razie jakieś miejsce dla alternatywy w Polsce?

– Pewnie, że tak. To są małe grona i żyją w jakichś klikach. Oczywiście mogę mówić tylko o tych osobach, które znam. Ja wierzę, że to środowisko wciąż się buduje. Uważam jednak, że alternatywa nie może być tylko dla alternatywy. Ludzie mają robić różną muzykę. Miejsce musi być dla każdego. Chodzi oto, by w każdym gatunku chwalić jakiś poziom. Ja nie chcę mówić, co dla mnie jest dobrą muzyką. Sądzę jedynie, że polska alterna-

tywa jest na bardzo wysokim poziomie, a pop nie. Ja kocham pop i chciałbym żeby był w Polsce lepszy.

– **Kiedys określiłeś swoją muzykę jako „pop alternatywny ze wstawkami punkowymi”. Możesz to rozwinąć?**

– Obecnie piszę piosenki różne, ale trzeba zdawać sobie sprawę, że ich schematy są bardzo popowe. Chyba dlatego moja muzyka trafiła do szerszego grona. Obecnie pop kojarzy się z czymś słabym. Za granicą tak nie jest. Tam niekonieczne to, co jest alternatywne, musi nie być popem. Wręcz odwrotnie. W innych krajach, coś, co jest popem, jest bardzo eksperymentalne. Na polskiej scenie bywa inaczej. Tu mnóstwo rzeczy jest wykonywane mechanicznie i nudno. Mnie kręci to, co nudą nie jest...

– **A jest jakaś granica alternatywy?**

– W Polsce panuje przekonanie, że sztuka alternatywna nie może zarabiać pieniędzy. Ja już zagrałem wiele koncertów za darmo i cieszę się, że mogę w końcu dzięki graniu żyć. Dlaczego sztuka alternatywna nie może być na bankiecie? To tak jakbyś miał produkt alternatywny, który zmienia status wraz z ilością sprzedanych płyt. Właściciele dużych firm nie mogą słuchać dobrej muzyki? To przecież bzdura. Jeżeli masz ochotę na „Taniec z gwiazdami”, to masz do niego iść!

– **Wiele propozycji koncertowych odrzucasz?**

– Mam świetną menadżerkę i w sumie nie wiem, jak to wygląda. Odmawiam na pewno takim wydarzeniom, które nie pozwoliłyby mi grać koncertów w zamian za to, że co piątek rano widziałbyś mnie w telewizji. Nie zapraszajcie mnie do trzeciej czy ósmej edycji, zaproszcie mnie do pierwszej edycji jakiegoś głupiego programu! (*śmiech*) Tak naprawdę to nie jest mój świat. W tej chwili najważniejsze jest granie i cieszę się, że mogę to robić.

– **Po sukcesie płyty „Debiut” łatwiej grać repertuar Tesco Value?**

– Nawet nie wiem, czy łatwiej. Przyznam, że może nawet jest trudniej. Wiesz, ludzie generalnie nie znają tego



Fot. Łukasz Zolądz

Temat z okładki

materiału. Poznają go pierwszy raz. Dopiero go odkrywają. Kiedyś te piosenki żyły własnym życiem i były grane dla grona, które je kojarzyło.

– A jest wyczuwalna granica pomiędzy tymi, którzy słuchają cię dla mody, a tymi, którzy robią to z przekonania?

– Nie widzę jej, ale istnieje na pewno. Zawsze tak było. Ja się cieszę i jestem wzruszony, że ludzie mnie słuchają, ale wiem, że nie będzie tak zawsze. Teraz jest piętnaście minut sławy. Mam jednak nadzieję, że kiedyś, jak będę grał coś innego, to ludzie pomyślą: – ej, *kiedyś byłem na koncercie Czesława, robił coś fajnego, zobaczmy co gra teraz*. Ja jestem grajką i chciałbym, by zawsze było miejsce dla mnie, ale nie mam żadnych oczekiwań na przyszłość. Po prostu chcę grać i będę bardzo zadowolony, jak będzie się to podobalo ludziom.

– Na koncerty zabierasz swoich przyjaciół, którzy w różnych kompilacjach współtworzą zespół. To przyjemne grać z bliskimi osobami?

– To cudowne. Dzięki temu, ja nie czuję takiej odpowiedzialności, nie muszę niczego udowadniać. To są moi przyjaciele. Oni chcą grać tę muzykę, bo zawsze grali. Kochają Polskę, kochają mnie. Projekt celowo nazywa się „Czesław Śpiewa”, bo chcę brać różnych muzyków ze sobą. Każdy jest dla mnie ważny. W przyszłości chcę występować z większą ekipą. Dla mnie jest bardzo ważne, że osoby, które mnie słuchają, wiedzą, że wszystko, co robię, wspierają i współtworzą moi przyjaciele. Wspaniałe jest, że przez półtorej godziny występu możemy ukazać, że kochamy wspólnie grać i robimy to dla przyjemności.

– Te różne kompilacje Czesława, który śpiewa, biorą się z tego, że jedna by ci się znudziła?

– Niekoniecznie. W tej chwili jeżdżę z Karen i Marcinem. To mi się nie nudzi. Na pewno jednak będę miał ochotę brać innych muzyków. Przez wiele lat, jak przyjeżdżaliśmy do Polski, to nie raz musieliśmy brać zastępczego grajka, bo nie wszystkim wyjazd pasował i nie

wszyscy mieli pieniądze. Gdy graliśmy pod szyldem Tesco Value, dzwoniłem do kolegów i pytałem, kto ma ochotę przyjechać. Każdy ma swoje projekty i swoje życie. Cieszę się, że publika mi ufa i te piosenki można grać w różnych składach.

– Zauważasz to, że wszyscy cię uwielbiają, bo jesteś jedyny, który przyjechał z zewnątrz i mówi nam, że jesteśmy fajni. Tutaj wszyscy mówią, że jesteśmy do niczego...

– To prawda. Tomek Lipiński powiedział mi, że przez długi czas na polskiej scenie nie było wykonawcy, który by nie narzekał. Tomkowi zapewne chodziło o to, że podtekst piosenek jest pozytywny. Ten materiał został sławny przez przypadek. Ale to cudowne, że osoby, które przychodzą na koncert z ciekawości, mogą ujrzyć mój subiektywny, niczym nieskrępowany świat.

– Czyli jest coś takiego jak niezależność?

– Jest ogromna niezależność. Ludziom się wmówiło, że jest inaczej. Ja mam nawet wytwórnię, która nie ma żadnych wymagań. Wspólnie podejmujemy decyzję i dyskutujemy. Najważniejsze jest mieć dobrych ludzi wokół siebie, którzy dają cenne wskazówki.

– Spotykasz się z jakimiś antyfanami?

– Spotykam się. Ostatnio grałem w Poznaniu. Przy barze siedziały dwie osoby, które w ogóle nie poszły na salę, gdzie był koncert, a później powiedziały, że to, co robię, jest kiepskie. No ale jak można oceniać koncert, gdy się na nim nie było? Ten temat jest szeroki. Ja na przykład nie miałbym potrzeby, by założyć sobie w Internecie fikcyjne konto i wyzywać się na ludziach. W Polsce wiele osób tak robi.

– Może to specyfika naszej mentalności?

– Polska to taki kraj, w którym czuć wiele frustracji i kompleksów. Szczególnie w Internecie, gdzie można powiedzieć wszystko. Myślenie jest takie, że jak coś trafiło do szerszej publiczności, to musi być kiepskie. Musi.

– A może to właśnie wróg mobilizuje?

– To jest na pewno jakaś mobilizacja, ale ja nie będę komunikował się z wrogiem, który jest bezsensowny. Ja nie gram pod publikę. Właściwie to jest tak, że jak tacy ludzie gadają o tym, co ja robię, to znaczy, że jestem znany. Tak naprawdę zauważyłem, że jest wokół mnie głośno dopiero wtedy, jak pojawiły się negatywne komentarze na mój temat. Ale w gruncie rzeczy to dobre. To pobudza do zastanowień, co to jest sztuka. Ja nie uważam, że polska publika jest głupia, ale oni strasznie lubią określać innych. Trzeba tylko uważać, by nie wpaść w ocenianie ludzi po tym, czego słuchają.

– Czesław, jesteś minimalistą?

– Jak najbardziej. Nie wiem czy to się udaje na płycie, ale jak gram koncerty robię to bardzo minimalistycznie. Parę tonów na pianinie i z tego jest cała piosenka. Niektórych może to przestraszyć i tremować. Wielu ma wątpliwość, jak coś tak prostego muzycznie może być tak fajne.

– A jak do tego ma się improwizacja?

– Ja szanuję tę zdolność bardzo. To, co tworzę z zespołem, to taki specyficzny luz. My czujemy się bezpiecznie, więc staramy się muzykę ogarnąć subiektywnym światem improwizacji. Trzeba przyznać, że on też jest minimalistyczny.

– Spotykasz się z młodymi ludźmi. Jak oceniasz nową generację?

– Mam przyjaciół, którzy są w moim wieku, i jak spotykam ich młodsze rodzeństwo, to zauważam, że nawet ci pięć lat młodszy całkowicie inaczej funkcjonują. Jest duża różnica poglądów. Oni żyją w przekonaniu, że mogą wszystko. Trochę teraz naiwnie generalizuję, ale to całkiem inna generacja. To oczywiście jest bardzo pozytywne. Dla nich Europa całkowicie się otworzyła. Jeżdżą na wakacje do Anglii, by dorobić, i nie mają żadnych barier. Cały świat jest teraz mały.

– A co wkurza Czesława Mozila?

– Mnie strasznie wkurza, że jak chcę płać podatki i wyrobić sobie NIP, to dostaję list, w którym mi grożą karą do 2.5 tys. złotych, jeśli się nie przemelduję do ty-

godnia, a wszystko dlatego, że wpisałem w imieniu swojego ojca „l”, a nie „l”. To, co się dzieje w systemie jest dla mnie niepojęte. Wkurza mnie też sztuczne kreowanie świata. Nie narzekam już na korki, bo wiem, jakie są, i po prostu nie jeżdżę po Krakowie samochodem.

– **Na jakich fundamentach bazuje Twoja muzyka. Co jest dla Ciebie inspiracją? Miała na to wpływ szkoła muzyczna?**

– Szkoła muzyczna na pewno nie miała na to wpływu, bo ona jedynie zachęca, ale to nie przez nią się edukujesz. Wszystko tak naprawdę bazuje na idolach. Kształtowałem się przez Madonne, Prince’a, Offspring, Iron Maiden, Korn, Deftons, Bjork, PJ Harvey, Nicka Cave’a, Toma Waits’a – to wszystko jedna wielka mieszanka. Słuchałem dużo folku, klasyki i muzyki filmowej. Przyznam, że kocham gry komputerowe i jako chłopczyk oprócz ćwiczeń na akordeonie dużo grałem. Podejrzewam, że podświadomie jestem ukształtowany podkładami muzycznymi do japońskich gier komputerowych – może właśnie dlatego moja muzyka jest taka bajkowa. Inspiruję się muzyką i to jest naturalne, ale nie lubię, jak ludzie porównują zespoły. Wiadomo, że niektóre piosenki są do siebie podobne, ale to wynika z pewnych ograniczeń.

– **Masz jakieś marzenie związane ze współpracą z muzykami?**

– Jest wiele dobrych muzyków, ale nigdy jeszcze o tym nie myślałem. Trzeba zacząć od tego, co pasuje ze sobą. To, że jesteś fanem kogoś, nie znaczy, że razem potraficie stworzyć coś dobrego. Jestem wielbicielem Lao Che, Marysi Peszek, Hey, Lecha Janerki – może to brzmi bardzo oklepanie, bo to ogromne postacie, ale dla mnie to jest właśnie śmietanka polskiego show-biznesu.

– **Myślisz o jakimś nowym projekcie?**

– Myślę o tym, by wydać muzykę, którą gram już na koncertach. Dostaję także mnóstwo dobrych tekstów od fanów, które nigdy dotąd nie wyszły z szuflady, a można by zrobić z nich coś fajnego...



Fot. Łukasz Żołądź

– **W takim razie łatwo się utożsamić z czyimś tekstem?**

– Jeszcze cztery lata temu powiedziałbym, że to w ogóle niemożliwe. Teraz już wiem, że jest inaczej. Ja miałem fuksa, bo Michał Zabłocki przesłał mi linka do mnóstwa tekstów od internatów i miałem możliwość zadecydowania, które

z nich chcę śpiewać. Wybrałem dziesięć, które mi się bardzo spodobały. Tak naprawdę widzę w nich historie, które sam chciałem opowiedzieć. Nie będę mówił, jak ja je interpretuję, ale naprawdę mogę powiedzieć, że się z nimi utożsamiam.

**Rozmawiał:
Bartosz Walat**



4 grudnia br. w Przychodni Towarzystwiskiej (ul. Szewska 23) „Mixer” zorganizował spotkanie z okazji wydania 30. numeru pisma. Uczestniczyli w nim członkowie redakcji, którzy wraz z nowym redaktorem naczelnym Bartoszem Walatem starali się zarysować plan rozwoju magazynu, a także zaproszeni goście.

Podczas dyskusji pojawiły się ciekawe pomysły uatrakcyjnienia „Mixera”. Niebawem wprowadzone zostaną nowe pasma tematyczne. Magazyn od czterech lat trafia do rąk studentów Krakowskiej Szkoły Wyższej i spotyka się z coraz większym zainteresowaniem (nawet osób z konkurencyjnych uczelni). Spora w tym zasługa autorów piszących do magazynu, a przede wszystkim osób go redagujących., m.in. długoletniego redaktora naczelnego Bartka Misińca i opiekuna redakcji Macieja Malinowskiego z Wydziału Politologii i Komunikacji Społecznej.

„Mixer” cały czas czeka na nowych współpracowników. Nie bójcie się pisać, naprawdę warto. Teksty przysyłajcie pod adresem mixer_ksw@interia.eu

Redakcja

„Mixer” czeka na nowych współpracowników

To już 30. numer...



Bartłomiej Misińiec (z lewej), były naczelny „Mixera”

Kino lat 30. ub. wieku, czyli „Przeminęło z wiatrem”

To, co bezpowrotnie uleciało...

Joanna Oparcik

Witając lata 30. ub. wieku, światowa kinematografia zdawała się zapowiadać to, co miało nastąpić w przyszłości – kilkadziesiąt lat dominacji kina amerykańskiego. Aż do lat 50. i 60., kiedy neorealizm włoski czy nowa fala francuska próbowała zmienić ten stan (jednak ze skutkiem nie do końca udanym), oczy widzów skierowane były bowiem za ocean.

Dla kina wprost z fabryki snów był to czas, kiedy klarowała się ostatecznie sytuacja na rynku – powstało kilka ogromnych wytwórni filmowych, które zdominowały na wiele lat produkcje filmów w Hollywood, a których szefowie wciąż ze sobą rywalizowali. Paramount Pictures Zucora, MGM Mayera czy Warner Brothers nie żałowali środków, by pokonać konkurencję. To właśnie wtedy zaczęły się wielkie produkcje, kiedy to ogromne pieniądze przekładały się na zapierające dech widowiska, mające przyćmić dokonania innych tygrysów tego biznesu.

Lata 30. ub. wieku to też okres, kiedy kino zaczęło się rozwijać w kilku różnych kierunkach: z jednej strony kino obyczajowe lat 30., w którym bohaterami byli tak zwani zwykli ludzie; początki kina westernowego z prawdziwym dynamitem gatunku, czyli „Dyliżansem” z 1939 roku z niezapomnianą rolą młodego Johna Wayne’a, z drugiej ogromne produkcje historyczne, w których najważniejszy był rozmach i epickość dzieła.

Tym razem chciałabym się skupić na filmie będącym kwintesencją takiego właśnie rozmachu – filmie Victora Fleminga z 1939 roku ze świetną rolą Clarka Gable’a i Vivien Leigh pt. „Przeminęło z wiatrem”. Tak, wiem – już słyszę głosy niezadowolenia: a to, że strasznie długie; a to, że przestarzałe i zbyt melodramatyczne czy też pompacyjne. Jednak namawiając was do obejrzenia tego filmu, chciałabym, żebyście spróbowali uwolnić się od myślenia XXI-wiecznego widza.

Choć film uderza rozmachem, nawet dziś pamiętajmy, kiedy powstał oraz jakie wrażenie musiał zrobić w latach 30. czy 40. ub. wieku.

Z pewnością wielu z was słyszało o tym filmie, ale niewielu go oglądało. Ta epicka historia opowiada o losach rodziny O’Harów w ciągu lat, dla której tłem jest wyniszczająca Amerykę XIX wieku wojna domowa pomiędzy Południem i Północą. Pomiędzy osi filmu pozostaje wojna, tak naprawdę nie widać jej na ekranie – została raczej ukazana przez pryzmat małych historii poszczególnych bohaterów, sytuacje wydawałoby się prozaiczne (braki w zaopatrzeniu, kłopoty z dostaniem się do innych miast czy stanów, bieda i pogarda wygranych w stosunku do pogruchotanego Południa).

To, co mnie się najbardziej podoba, to ukazanie ewolucji głównej bohaterki, która jednak nie wyrzeka się swoich specyficznych cech charakteru. Zarówno na początku, jak i pod koniec filmu jest uparta, temperamentna i nieco wyzy-

wająca w swojej pewności siebie. Jednak o ile poznajemy ją jako sprytną i zuchwałą, ale w gruncie rzeczy beztroską osobkę, o tyle na końcu mamy do czynienia z pełnokrwistą postacią kobiety, która wiele przeszła, ale wciąż potrafi być dumna. Może zresztą czasem na wyrost – jakby nie chciała przyjąć do wiadomo-



ści swojego beznadziejnego położenia. Ilustracją tego jest jej słynny tekst kilkakrotnie powtarzany jak mantra „Pomyślę o tym jutro”.

Widza zaskakuje autentyczność postaci, jakie potrafili zbudować aktorzy. Zarówno Leigh, jak i Gable stworzyli prawdziwych ludzi z krwi i kości, ze słabościami i dylematami, jakie każdy z nas posiada. Pomimo pewnej manieri grania, nieodłącznej dla filmów tej dekady, ich gra zaskakuje i świeżością, i nowoczesnością. Dodatkowym atutem wydaje się to, że stworzyli dwie godne siebie postaci – inaczej niż w wielu melodramatach lat. 30., gdzie często kobieta jest udręczoną ofiarą lub femme fatale i występuje nierówna „walka” charakterów. Tu mamy dwójkę bohaterów mogących bez przeszkód prowadzić ze sobą dialog na równych prawach.

Po obejrzeniu tego filmu na pewno zapadną wam w pamięć niezapomniane sceny – od nakręconego z przepychem ujęcia palącej się Atlanty, poprzez drobne komediowe scenki, jak choćby występ Scarlett w sukience uszytej z welurowych zasłon, czy wszelkie sceny z uhonorowaną Oscarem czarnoskórą Hattie McDaniel (grającą Mammy), aż do scen dramatycznych, nakreślających burzliwe małżeństwo głównych bohaterów. Na uwagę zasługują też piękne kostiumy i scenografia – wielki budżet pozwolił na stworzenie wyjątkowo dokładnych i wiernych dekoracji.

Z filmu „Przeminęło z wiatrem” unosi się wielki sentymentalizm za latami bezpowrotnie straconymi, za bez troskością Południa. Film opowiada w szerszym ujęciu o pewnych wartościach, stylu życia, które bezpowrotnie odeszło. Bohaterowie próbują odnaleźć się w nowej sytuacji, wciąż chyba nie wierząc w upadek świata, w którym się wychowali.

Co przesądza o sile filmu? Chyba jednak nie epickość historii, ale właśnie male, wewnętrzne dramaty i przeobrażenia bohaterów. Zmiany, jakie przyniosła wojna, na zawsze odcisnęły na nich piętno. W pewien sposób ów obraz daje też nadzieję – przecież obserwujemy świat oczami strony przegranej, zrujnowanego Południa, a jednak wszystkie postaci pokazują, że z najgorszego piekła można wyjść zwycięsko – niekoniecznie materialnie, ale choćby (a może przede wszystkim) moralnie. ■

Artystyczne Stowarzyszenie .scal_art

Pomóc młodym twórcom niezależnym

Marta Wawrzyniak

W różnych publikacjach pojawiają się opinie, że klimat Krakowa nasiąknięty jest archaizmem i sterylnością. Okazuje się, że powstają instytucje, których celem pozostaje walka z tym stereotypem. Najnowszym projektem, jaki wkomponował się w nasze miasto, jest Artystyczne Stowarzyszenie .scal_art, które nie manifestuje, nie chce rewolucji.

Z materiałów prasowych rozsyłanych przez założycieli inicjatywy projekt powstał po to, żeby pomóc młodym twórcom niezależnym, którzy dotąd nie byli dostrzeżeni przez mecenasów. Na stronie internetowej Stowarzyszenia można wyczytać, że „głównym celem jest wytworzenie spójnego wizerunku pokolenia '80, które by podjęło dialog z istniejącymi instytucjami kulturalnymi”.

Inicjatywa wymierzona jest w pisarzy, grafików, fotografików oraz wszystkich innych, którzy dotąd mieli problemy z ukazaniem swojej perspektywy na szerszą skalę. Wydaje mi się, że założenia, jakich podjęli się inicjatorzy akcji, natrafiają na odbiór – szczególnie że młodzieżowe środowisko krakowskie obfituje w ludzi wchłoniętych w artystyczny klimat. Ale czy trudne prawa rynku pozwolą przetrwać tym założeniom?

Do tej pory projekt przejawia się w różnych miejscach Krakowa, gdzie realizuje wystawy, spotkania z uznanymi twórcami i zestawia „młodych niezrzeszonych” z „docenionymi i sztandarowymi”. Jedną z takich akcji było spotkanie ze Sławomirem Shutym oraz wystawa Karoliny Liczman pt. „Kobieda”. Brałam udział w obu przedsięwzięciach i z obserwacji wynika, że .scal_art jest stosunkowo dobrze zorganizowany. Oczywiście nasuwają się pewne wątpliwości i chętnie skonfrontowałabym je z twórcami akcji, ale pozwolę sobie to zbadać, uczestnicząc w kolejnych projektach. Tym razem



na forum pojawił się konkurs literacki na „Opowiadanie o kanarach” – nagrodą jest publikacja materiału w wydawnictwie Artystycznego Stowarzyszenia. Chcecie publikować? Sprawa jest prosta.

To bardzo dobrze, że w naszym mieście można natrafić na ludzi, którzy starają się pomóc innym. Warto zauważyć, że z koncepcji tej organizacji wynika, iż w pełni jest tworzona przez rocznik '80 i trzeba przyznać, że można to uznać za wyznacznik świeżości i bezkompromisowego podejścia do podejmowanych zabiegów. Za pointę niech posłuży moje spostrzeżenie, że po spotkaniach organizowanych przez .scal_art. byłam pewna, że projekt spotka się z uznaniem. Wierzę, że moje przeczucia przeniosą się na realny wpływ tej organizacji na wizerunek współczesnej bohemy Krakowa.

PS

Jeżeli tworzycie i chcecie zamaniestrować, że nie godzicie się z obecnymi realiami promocyjnymi młodych artystów, napiszcie na info@scal-art.pl i pokażcie, że macie coś do powiedzenia. Ja napisałam.

Wybory w Stanach Zjednoczonych wciąż podlegają analizie...

Barack Obama: iluzjonista godny swoich czasów?

No i stało się – zgodnie z sondażami wybory na stanowisko Commander in Chief, czyli czterdziestego czwartego prezydenta USA, wygrał po raz pierwszy czarnoskóry senator Barack Obama. Zaskoczenia nie było. Większość komentatorów od dawna to przewidywała. Czy zatem jest się nad czym pochylić i co analizować, kiedy tyle już zostało powiedziane? Okazuje się, że tak...

Ameryko, „pokaż swoją twarz”

Po pierwsze, słynny już, dość szeroko opisany *efekt Bradleya*. Osobom niekojarzącym przypominam, że socjologowie nazwali tak sytuację, kiedy to kolor skóry kandydata okazuje się mieć (pomimo przeciwnych zapewnień wyborców) decydujące znaczenie. Chodzi o to, że mimo zadeklarowanego poparcia dla kandydata czarnoskórego głosujemy przeciwko niemu ze względów rasowych.

Tyle teorii, a co w praktyce? Wyda się, że tym razem nie spotkaliśmy się z taką sytuacją. Co więcej, myślę, że było wprost przeciwnie i trzeba mówić o efekcie odwrotnym, który od teraz zostanie chyba nazwany *efektem Obamy*. Senatora z Chicago poparło o wiele więcej elektorów (a więc zyskał dużo większe poparcie społeczne) niż oczekiwano. Wygrał bowiem przytłaczającym stosunkiem głosów, pokonując swojego republikańskiego przeciwnika nie tylko w demokratycznych stanach, ale także w tych miejscach, które od lat nazywano „bastionem republikanów”, słynącym z wieloletniego poparcia dla konserwatystów. Wyborcy przełamali jednak długoletnią tradycję i mając do wyboru przedstawiciela, bądź co bądź, strony, która od 8 lat rządzi krajem z bardzo marnym skutkiem (podpisując się choćby pod niekończącą się wojną w Iraku i kryzysem gospodarczym), zacisnąwszy zęby, z lekkim oporem poparli kandydata demokratów pomimo wewnętrznego rasizmu.



FreakingNews.com

Zastanawia mnie tylko jedno: co by się stało, gdyby kandydatem demokratów na stanowisko prezydenta USA okazała się Hilary Clinton? Wbrew pozorom kolor skóry niewiele by jej pomógł – konserwatywni wyborcy z pewnością bardziej by byli skłonni do poparcia Obamy niż kobiety – choćby białej jak śnieg. Ot, to właśnie słynna, pełna sprzeczności Ameryka...

„Ociec, prac”, ale i... plukać w nowym Lenorze Perwoll Black

Druga sprawa to fakt, jak na wybory amerykańskie zareagowała cała popkultura i media. Nie – to nie były już wybory polityczne, którymi mało kto się interesuje (choć oczywiście każde wybory amerykańskie, ze względu na pozycję tego kraju na arenie międzynarodowej, przyciągają opinię światową). Tym razem polityka przeniknęła prawie wszystkie dziedziny życia. Tylko dlaczego?

Odpowiedzią może być charakter obecnego wizerunku polityki. To już nie tylko kilkumiesięczna kampania przedwyborcza wraz z wystąpieniami publicznymi, spotami reklamowymi i debatami telewizyjnymi. W tym roku dostaliśmy coś gratis, jak przy zakupie proszku do prania, do którego dołącza się czasem płyn do płukania. „Czarny Kennedy”, jak przez wielu bywa nazywany Obama (czego sam zainteresowany jest doskonale świadomy), wyruszył w świat. Odwiedziny kandydata na stanowisko prezydenta USA to dość rzadkie zjawisko. Wydawało się, oglądając słynne już ujęcia ze spotkania senatora z 200-tysięcznym tłumem berlińczyków, że chce on przypieczętować swój sukces, zanim ten jeszcze nastąpił. Wręcz czekało się, kiedy zacznie mówić słynnym tekstem nomen omen Kennedy’ego: „*Ich bin berliner*”.

Inną sprawą pozostaje historyczne zaangażowanie świata celebrity z najwyższej półki całego Hollywood. „Miało Aniołów” od lat wspiera (mniej lub bardziej) demokratów, ale pierwszy raz w historii sytuacja osiągnęła tak szeroki zakres. Symptomy owej histerii mogliśmy zauważyć już cztery lata temu, kiedy Al Gore walczył z George’em W. Bushem, przegrywając z nim w trudny do uwierzenia sposób. Rozczarowanie, jakie się wtedy pojawiło w Hollywood, wyra-

żone choćby w (nie zawsze rzetelnych, ale o tym... pstt) dokumentach More’a, dodatkowo zdopingowało gorące nazwiska Los Angeles. Normą stało się publicznie głoszone poparcie dla Obamy, tworzenie spotów reklamowych czy piosenek promujących.

Innym sposobem okazała się zabawa w „żywy billboard”, czyli nieme wyrażenie zachwyty poprzez noszenie koszulek z wizerunkiem senatora. W miejscu, gdzie każdą byłą gwiazdę codziennie fotografuje się choćby w drodze do siłowni czy po kawę, takie wyrażenie swoich preferencji miało szczególnie znaczenie, zapewniając darmową reklamę o silnie społecznym wydźwięku u grupy, która w tych wyborach najbardziej się liczyła – młodych ludzi pierwszy raz wybierających się na wybory. Żadne pieniądze nie są w stanie zapewnić takiej promocji. Wystarczy przejrzeć archiwa internetowych blogów i stron plotkarskich z ostatnich dni kampanii.

Natomiast witryny ekskluzywnych sklepów internetowych na chwilę pochowały najnowsze kolekcje pret-à-poter na rzecz mniej może glamour, ale jakże poprawnych politycznie bawełnianych podkoszulków wartych 5 dolarów. Zestawione ze szpilek od Manolo Blahnika za 700 dolarów czy najnowszymi mokasynami YSL, były idealnym strojem do biura mieszczącego się przy gwarnych ulicach Nowego Yorku.

Czy to ptak, czy samolot? Nie to Super-Obama

W końcu temat, nad którym zastanawiano się trochę po cichu, trochę niechętnie i delikatnie, czyli reakcja międzynarodowa. Nikt oczywiście nie przyzna, że kolor skóry stanowi jakiś problem. Jednak sławna już, a niezmiernie żenująca, wypowiedź Berlusconi’ego z Moskwy o „młodym, zdolnym i opalonym” Obamie budzi wątpliwości. Śmiać się można, że to tylko jednak głupi wybryk premiera Włoch, ale niepokoi fakt, że i u nas nie jest lepiej. Nazwanie Obamy „czarnym mesjaszem amerykańskiej lewicy” przez skrajnie prawicowego posła Górskiego (należącego jednak do drugiej partii w kraju) przeraża. I choćby były to odosobnione głosy, powinniśmy być na nie szczególnie wyczuleni.

Choć wszyscy zapewniają o równości ludzi wszelkiego pochodzenia etnicznego, wystarczy się bliżej przypatrzeć składowi większości rządów krajów europejskich, by przekonać się, że nawet w wielokulturowych społeczeństwach francuskich, niemieckich czy brytyjskich osoby o odmiennym niż biały kolor skóry rzadko zasiadają w parlamentarnych ławach, nie mówiąc już o zajmowaniu wyższych stanowisk. Można oczywiście kłaść to na karb wieloletniej dysproporcji wykształcenia białych i kolorowych obywateli tych krajów czy też na zamknięcie się w ciasnych grupach etnicznych (np. Turków w Niemczech). Jednak dalej nie tłumaczy to tak wielkiej przewagi stereotypowego białego kołnierzyka w idealnym wieku 45-55 lat pod krawatem (okazjonalnie wymieniającego garnitur na garsonkę).

Przyczyn należy szukać raczej w ogólnym społecznym przyzwoleniu na taką sytuację i podświadomym przekonaniu oraz niechęci do innych grup etnicznych. Czas najwyższy, żeby biały establishment został lekko przemieszany (nic tak dobrze nie robi skostniałym strukturom demokracji jak mała „rewolucja” otwierająca oczy). I choć Obama może się wielu wydawać nieco komik-sową postacią wraz ze swoimi, tak, przynajmniej to, dość ogólnikowymi hasłami wyborczymi, lykrze z wielkim złotym „S” wypisanym na swoim niebiesko-czerwonym kostiumiku.

Co oznacza wybór Obamy dla Ameryki? Trudno powiedzieć – wciąż jest za wcześnie, żeby się przekonać, ile z haseł było tylko populistycznym magnesem, a ile prawdziwymi obietnicami przyszłych działań. Jedno jest pewne – wielkie oczekiwania własnego społeczeństwa i uważne przypatrywanie się zza oceanu nie pozwolą raczej Obamie na gładkie pseudodziałania. Mając na karku sfrustrowany oddech własnego narodu, chcąc nie chcąc, będzie się musiał przyłożyć i zaoferować prawdziwie przełomowe działania. Ze wspaniałego iluzjonisty i władcy ludzkich serc musi się teraz zmienić w prawdziwego czarodzieja, który pokaże, że czary jednak istnieją, a rzucenie złotym pisakiem w oczy zachwyconej widowni z rozdziawioną ze zdziwienia szczęką to tylko początek.

Joanna Oparcik

- Nie planujemy dzieci, mamy swoje centrum dowodzenia - kuchnię, w ogrodzie mnóstwo ziół, które Steve zbiera, a ja ich używam, gotując - opowiadał, bohater katalogu szwedzkiej firmy, który wzbudził oburzenie środowisk katolickich w Polsce

IKEA i homoseksualizm

Maciej Pietrzyk

W związku z promowaniem przez sieć sklepów IKEA homoseksualizmu „Rzeczpospolita” i „Frona” zaapelowały o ich bojkot. Szczególnie ostro wypowiedział się redaktor naczelny „Frondy” Grzegorz Górny: - *Traktowanie związków jedнопłciowych jako równoprawnych z małżeństwem jest niedopuszczalne. Publikacja IKEA jest promocją określonego stylu życia, który nie zasługuje na publiczne propagowanie. Wiąże się to ze strategią osławiania, a następnie zalegalizowania związków homoseksualnych. Robi się to po to, by utrwalić ich obraz w społeczeństwie jako związków równorzędnych, a potem prawnie je zalegalizować.*

Jednak jeszcze dalej poszedł Marek Horodniczy, redaktor naczelny kwartalnika „44/Czterdzieści i cztery”. Poza wzywaniem do bojkotu przedstawił ciekawą wizję świata, z którą warto się zapoznać.

Horodniczy twierdzi, że otacza nas matrix, przez co nie widzimy rzeczy, jakimi są w istocie, lecz widzimy je takie, jakimi nam się wydają. Umiejętność rzeczywistego patrzenia na świat mieli nieliczni, np. św. Jan od Krzyża czy św. Faustyna Kowalska, którzy na co dzień obcowali z Chrystusem Panem i rozmawiali z Maryją. My jednak, nie mogąc dostąpić owej szczególnej łaski, musimy szukać ratunku w Kościele, gdyż ten jako mistyczne ciało Chrystusa i jedyny depozytariusz prawdy objawionej jest w stanie nas z tego matriksu wyciągnąć. Praktykowanie homoseksualizmu to grzech ciężki, a powołaniem Marka

Horodniczego jako publicysty pozostaje zrobienie wszystkiego, by takie zachowanie nie aspirowało do pojęcia „normy”.

Okazuje się, że problem formy IKEA jest głębszy, niż moglibyśmy sobie wyobrazić. Nie chodzi tylko o propagowanie homoseksualizmu. IKEA to również gigantyczna instytucja, która wyposaża nam domy - formatuje ludzi, tak żeby nie mieli wyczułonej wrażliwości nawet w tak prozaicznej dziedzinie jak meblarstwo. Grzech został w niej zakorzeniony tak głęboko, że właściwie nie da się go usunąć. A tam gdzie jest grzech, jest i szatan, który działa poprzez ludzi.

Jak więc w dzisiejszych czasach walczyć z grzechem i szatanem?

Horodniczy sugeruje, że powinniśmy wskrzesić ducha średniowiecza, epoki moralnie i duchowo spójnej. Nie chodzi mu oczywiście o powrót do wieków średnich, lecz o nawiązanie do tamtych czasów przez przeprowadzanie ludzi na dobrą stronę mocy.

A zatem tylko od nas zależy, czy nadal będziemy żyć w matriksie i czy obudzimy się

w realnym świecie redaktora Horodniczego. Jego głównym architektem jest specyficzna część Kościoła, dla której każda różnorodność to zboczenie, gdzie nie istnieje pojęcie „tolerancji”, a życie to nieustanna walka ze złem. O tym, że zło czai się wszędzie, wiemy nie od dziś. Jednak kto by pomyślał, że pomiędzy szafkami, krzesłami i meblami kuchennymi w IKEA mieszka najprawdziwszy demon...



- Szkoda czasu na granie coverów...

- mówi *Maciej Marendowski* z zespołu „Drown My Day”

- Czym się obecnie zajmujesz?

- Jestem studentem V roku administracji na KSW. Właściwie wybranie kierunku zostało podyktowane rodzinną tradycją, bo ojciec też studiował administrację. Idę w jego ślady, ponieważ zawsze w domu wszystko kręciło się wokół tematów związanych z tą dziedziną...

- A co porabiasz poza studiowaniem?

- Jestem muzykiem amatorem. Obecnie współtworzę zespół „Drown My Day”, w którym występuję jako gitarzysta. Właściwie jestem współzałożycielem tej kapeli i tworzę z nią od czterech lat. Nasze brzmienie to deathcore, czyli połączenie metalowych rifów i hardcore'owej dynamiki. Bardzo dużo ćwiczę, bo mnie to bawi. To zainteresowanie pozwala mi się rozwijać i realizować. Od zawsze marzyłem o tym, żeby grać dla ludzi. Poza tym uwielbiam muzykę jako słuchacz, lubię zarówno brzmienia ciężkie, jak i elektroniczne.

- Czy codzienne studiowanie nie utrudnia realizowania własnych pasji muzycznych?

- Wydaje mi się, że zdecydowanie nie. Wręcz przeciwnie - daje to wiele możliwości, ma się przecież wolne weekendy...

- Zespół „Drown My Day” daje dużo koncertów?

- Stosunkowo tak, staramy się grać jak najwięcej w różnych miastach w całym kraju i na ile to możliwe poza granicami. Dla mnie, jak i dla każdego członka z zespołu jest to za każdym razem wielkie wydarzenie. To świetne wrażenie, gdy ludzie się bawią i dobrze nas odbierają. Cieszy mnie bardzo, że spotykamy się z przejawami sympatii.



- Dużo jest fanów tego rodzaju muzyki?

- W Polsce to twór całkowicie niszowy, raczkujący. W naszym kraju jest dużo zwolenników klasycznego metalu i tego, co istniało w latach 90. To, co obecnie dominuje na Zachodzie i w Sta-

nach Zjednoczonych, w ogóle do nas nie dociera albo dociera z paroletnim opóźnieniem. Ogólnie jest niełatwo, bo miłośników muzyki, którą wykonujemy, bywa niewiele. Mimo to bardzo mocno nas wspierają i pomagają, jak tylko mogą. Tak czy inaczej nietrudno zauważyć,

że brakuje u nas wytwórni wspierających ten rodzaj muzyki, mało jest dużych festiwali, niełatwo znaleźć sponsorów. Czasem naprawdę zaczynamy się zastanawiać, po co nam to wszystko...

- A jak na polskiej scenie wypada Kraków?

- Scena krakowska związana z nurtem hardcore'owym też nie jest, niestety, jakoś szczególnie reprezentatywna. Kapele, które kiedyś aktywnie koncertowały, zakończyły działalność. Oczywiście, działa tu parę młodych zespołów, ale na razie są to twory można powiedzieć raczkujące. Tak więc scena hardcore'owa pod Wawelem nie ma się czym chwalić. Inaczej rzecz się ma ze sceną związaną z muzyką ściśle metalową, ale to nie czas i miejsce, żeby o tym wspominać...

- Łatwo jest w tym kręgu wydać płytę?

- Nie, jest trudno i wcale nie chodzi tylko o finanse. Główny powód to brak zainteresowania rodzimych wytwórni tym gatunkiem muzycznym. Promuje się to, co się sprzedaje, albo to, w czym biorą udział znajomi znajomych. Młode kapele właściwie nie mają szans na wydanie płyty w dużej wytwórni. Dlatego częstą i dość popularną praktyką jest wydawanie i tłoczenie płyt na własną rękę, a potem sprzedaż np. przez aukcje internetowe. Warto też zakręcić się koło jakiejś wytwórni działającej w Niemczech.

- Pasja bywa na tyle silna, że przezwycięży wszelkie trudności... Zgadzasz się z tym?

- Wiele razy przeżywa się chwile słabości, ale trudno zrezygnować. Każdy z nas marzy o tym, żeby graniem coś osiągnąć. Teraz to realizujemy.

- Jakie są początki muzyka w tym środowisku?

- Najważniejsze to pomysły i zaangażowanie, a nie jakoś sprzętu. Trzeba chcieć działać. W tym fachu wszyscy są indywidualistami. Widać to także wśród całych grup. Co prawda, są kapele, które trzymają się razem, ale to wyjątki. Każdy idzie własną ścieżką i dlatego nie warto obserwować innych...

- Jaka jest twoja opinia na temat tego, że „jecie koty i rządzi wami szatan”?



- To bzdura. Pół roku temu odwołano spory koncert o przesłaniu ogólnie antyżydowskim organizowany w jakimś podkieleckim MDK-u, przy wsparciu miejscowego księdza. Organizatorzy przestraszyli się przesłania satanistycznego (satanizm na scenie hardcore'owej? Coś tu nie gra) i koncert zbojkotowano, a tym samym odwołano. Prawda jest taka, że środowisko metalowe i hardcore'owe, pomimo podobieństw i w pewnym sensie wzajemnego przenikania się, rządzi się zupełnie różnymi prawami, przede wszystkim inną mentalnością. Niestety, ludzie niesłusznie wrzucają to wszystko do jednego worka. My z satanizmem nie mamy nic wspólnego...

- A czego dotyczą wasze teksty, bo przyznasz, że trudno je zrozumieć, kiedy słucha się was na koncercie...

- Ja mam z tym mało wspólnego, bo nie jestem tekściarzem. Ale ogólnie nasze historie opowiadają o relacjach między ludźmi, o otaczającej nas obłudzie, o tym, co myślimy, o takich nieszczerych ludziach, o tym, czego pragniemy, czego nie lubimy. Czasem są to jakieś pseudo-miłosne sprawy, czasem zupełnie odrealnione, ironiczne historie... (śmiech)

- Są wami zainteresowani dziennikarze muzyczni?

- Zdecydowanie tak. Wiele portali recenzuje nasze płyty i koncerty, co bardzo mocno nas motywuje, gdyż są to wysokie oceny. Warto wspomnieć chociażby o wywiadzie dla portalu Interia.pl i jego Muzzowizji czy też wypowiedzi dla radia RMF FM.

- W jakim kierunku pójdziecie?

- Przede wszystkim zależy nam na koncertach poza krajem: w Niemczech, w Słowacji, w Czechach, na Węgrzech, w Holandii... Prowadzimy rozmowy, ustalamy terminy. Mam nadzieję, że chociaż część z naszych zamierzeń uda się zrealizować. Na wiosnę chcemy się skupić na nagraniu pełnego albumu, potem znaleźć poważnego wydawcę najlepiej w dużej wytwórni za granicą. Do tej pory wszystko układało się po naszej myśli, mam nadzieję, że i teraz tak będzie.

- Jesteście związani na stałe z jakimś producentem muzycznym?

- Tak. Współpracujemy z prężnie rozwijającą się wytwórnią *Spook Records* Dawida Krąkowskiego, który notabene także studiuje na naszej uczelni. Gość jest wielkim pasjonatem, siedzi w muzyce od lat. Na razie więc nie myślimy o zmianie.

- Uważasz, że nastał czas, żeby zacząć działanie w tej sferze?

- Pewnie że tak, czas jest zawsze. Trzeba tylko robić swoje, szkoda czasu na granie coverów. My zawsze liczyliśmy na siebie, nikt nam nie pomagał. Myślę, że jesteśmy dowodem na to, iż ciężka i systematyczna praca, a także konsekwencja w działaniu to najlepsza droga do wypracowania własnej niezależności. Należy grać jak najwięcej, ćwiczyć jak najwięcej, a wcześniej czy później pojawią się tego efekty. ■

tu będzie komiks

masz projekt?

chcesz rysować?

napisz do nas: mixer_ksw@interia.eu